

3. Praca na stacji kolejowej

Niedługo po zajęciu Krakowa Niemcy zabrali się do przebudowy dworca kolejowego. Wąskim gardłem węzła krakowskiego był stalowy most, stojący w poprzek ulicy Lubicz, na którym koncentrował się absolutnie cały ruch ze Wschodem; tylko pociągi przychodzące z zachodu nie musiały przezeń przejeżdżać. A właśnie ten kierunek ruchu miał podstawowe znaczenie w działaniach wojennych. Mostu tak łatwo poszerzyć się nie dawało – trzeba by w tym celu przebudować sporą część miasta; zrobiono to dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Można jednak było znacznie powiększyć przepustowość gardła przez zmianę mechanicznego systemu sygnalizacji na system elektryczny. Był to program gigantyczny, złożony z wielu elementów takich, jak kopanie rowów, kładzenie kabli, instalacja silników elektrycznych z nowym systemem cięgieł, a przede wszystkim z nowych nastawni, zarządzających całym tym majdanem.

Znaleźć pracę na kolei w zimie roku 1940 było więc całkiem łatwe – i warto było uczynić to co rychlej, ponieważ szwendające się po mieście grupki młodych ludzi wywożono w jeszcze szybszym trybie na roboty przymusowe do Niemiec.

Nadzór i konserwacja plantu kolejowego podzielone są – jak wiadomo – na tak zwane odcinki drogowe, których rozległość zależy od liczby urządzeń na określonym obszarze, od obejmowanej wiązki torów, a przede wszystkim od nastawni, stanowiących zwykle początek i koniec odcinka. Moje zgłoszenie do pracy trafiło do odcinka głównego, obejmującego sporą część stacji „Krakau – Hauptbahnhof”, duży łuk torów wychodzących z Krakowa na zachód, oraz odcinek torów na wschód, biegnących wzdłuż ulicy Blich – i dalej do Płaszowa. Ten ostatni trakt położony jest na wysokim wale i zawsze wieją wzdłuż niego silne i zimne wiatry. A zima tego roku była ostra. Zadaniem ekipy, do której mnie przydzielono, była konserwacja urządzeń sygnalizacyjnych wzdłuż tej trasy: zwrotnic, przekładni i semaforów. Najtrudniejsza była obsługa semafora wjazdowego: trzeba było wdrapywać się z torbą pełną ciężkich narzędzi na sam szczyt masztu, naoliwić części ruchome, czasem coś dokręcić – uważając nieustannie na to, że semafor był co chwila w ruchu i przy zmianie

ustawienia można było zlecieć dobrych kilka metrów niżej. Wskutek kilkunastostopniowego mrozu, wiatru, ta praca była szczególnie ciężka i niebezpieczna. Doświadczyłem jej przez co najmniej jeden z miesięcy zimowych.

Do szczególnie dokuczliwych sytuacji dochodziło wówczas, gdy semafor był w pozycji „stop”, a z Płaszowa nadchodził pociąg. Jeśli parowóz stanął akurat przy sygnale, można było zacząć od dymu, tlenku węgla i chmur sadzy, które emitował komin. Dziś myślę, że kierownik złośliwie wysyłał nowicjuszy na tę pozycję „na dotarcie”; był to bowiem wprawdzie Polak, ale germanofil, sługus okupanta, i z nie wieloma ludźmi miał dobre stosunki.

Ta szkoła życiowa skończyła się jednak dość rychłym przejściem do znacznie lżejszego i ciekawszego zajęcia. Już bowiem na przełomie 39/40 nadjechała z Niemiec ekipa Siemensu z mnóstwem wyposażenia i rozpoczęto przygotowanie budynków i terenu pod nowe urządzenia. Trzeba było jeszcze większej liczby rąk do pracy – teraz już nieźle płatnej, przy czym nawet najmarniejsza znajomość niemieckiego poprawiała znacznie pozycję w hierarchii dostępnych stanowisk. Ponieważ w niemieckim radziłem sobie całkiem nieźle, przydzielono mnie do pracy w dużej, nowej nastawni. W budynku było ciepło, nie dymiło, praca ciekawa a – co może najważniejsze – kierownik odcinka drogowego nie miał prawa wtrącać się do naszych zajęć.

Do wypłaty tygodniowej należał tak zwany „deputat”, składający się z butelki 0.5 l pospolitej wódki i setki papierosów. „Ciecz” sprzedawaliśmy „od ręki”, nawet nie dotykając butelki, papierosy zaś zatrzymywaliśmy, ponieważ już wtedy zaczynało się palić (zwłaszcza na wycieczkach, na których byliśmy sami). Nie smakowały nadzwyczajnie, często odruch po nich bywał zwrotny; do kontynuacji zachęcali mnie bardziej zaawansowani palacze. Znacznie lepszymi były „Mewy” lub niemieckie „Juno”, jedne i drugie kupowane w metalowych puszkach okrągłych, po 100 sztuk.

Spośród monterów niemieckich, stanowiących ekipę Siemensu, pamiętam nazwiska niektórych osób: Herr ing. Becker, Berlińczyk, główny kontroler i koordynator prac (zapewne był inżynierem, co można było sądzić po literackiej wręcz niemczyźnie, jakiej używał), Herr Mielke (Berlińczyk, także wykształcony), Noller (Bawarczyk, monter), Ogniewski (Reichsdeutsch!). Z niemczyzną tej mieszaniny często bywał niezły ubaw, jeśli w jednej grupie testującej połączenia ka-

blowe spotykał się Noller z Beckerem, który ku mojemu zdziwieniu nie rozumiał gwary bawarskiej Nollera (może go złościła?). Zdarzało się więc, że gdy Becker zagadał do Nollera, ten pytał mnie: „Wos sagt er?”. Tłumaczyłem wtedy żądanie Beckera na bawarski Nollera. Najwięcej kłopotów sprawiały długie, numeryczne oznaczenia kontaktów w określonym przekaźniku, których było multum: do silników, do świateł, do blokad lub testów potwierdzających polecenia itd., a które wypowiedane były bardzo szybko. Becker był człowiekiem bardzo spokojnym, a Noller cholerykiem. Dochodziło wtedy do awantur, do których mieszać się byłoby niezdrowo.

Kable elektryczne, przenoszące sygnały, były najczęściej 24 lub 48 nitkowe, ale zdarzały się i 128 nitkowe. Każdy z takich kabli jest starannie przygotowaną w fabryce strukturą: nitki ułożone są w standardowe warstwy kolistę i wszystkie z wyjątkiem jednej na każdą warstwę mają jednakowy kolor. Oznaczenie nitek rozpoczyna się od wyróżnionego koloru i trzeba tylko pamiętać o kierunku liczenia zgodnym z ruchem wskazówek na tarczy zegara lub przeciwnym – zależnie od tego, czy kabel był przychodzącym, czy też wychodzącym. Sam widziałem, jak pewnego razu Noller zniszczył swoją własną instalację 48 żyłowego złącza, ponieważ w żaden sposób nie można było dojść do uzgodnienia oznaczeń. Miał przy tym grube, ślusarskie paluchy i robota szła mu niesporo. Nauczyłem się tej instalacji szybko i wykonywałem ją samodzielnie, a on chodził na piwko. Asystowałem mu też we wczesnej fazie naszej współpracy. Kłąć umiał nadzwyczaj szybko i sprawnie, nie powtarzając przymiotników. Czasami był wściekły, a mnie to tak rozśmieszało, że pewnego razu odwróciwszy się (coś mu przytrzymałem) aż trzęsłem się od śmiechu. Spostrzegł to i spytał: – „Wos grinst er?” (czego rechoce?), a ja mu powiedziałem prawdę. Roześmiał się i za chwilę było dobrze, choć incydent mógł się też inaczej skończyć.

Montaż musiał być staranny i odpowiedzialny: wszystkie panczerze ołowiane kabli lutowano, drut musiał być przycięty na odpowiednią długość i zakończony „oczkiem”, na każde oczko nałożona podkładka. Lutowanie panczerza było też pewną sztuką, ponieważ musiało być wykonane ołowiem, nie kompozycją (wskutek różnicy współczynników rozszerzalności ołowiu i kompozycji złącze z różnych metali mogło pęknąć na mrozie). Wykonywało się je nie lutownicą, lecz wprost palnikiem lampy benzynowej. W tej sytuacji łatwo dochodziło do prze-

grzania cienkiej rurki panczerza, co znów było okazją do puszczenia wiązki soczystych inwektyw.

Do wszystkiego były odpowiednie narzędzia. Do cięcia drutu – cążki, do obciągania z niego izolacji gumowej na odpowiedniej długości – cążki, do przykręcania nakrętek – cała gama kluczy nasadkowych, do wykonywania okrągłych oczek – cążki, cała gama śrubokrętów i kluczy widlastych, lampa benzynowa i wyposażenie do lutowania i pewnie jeszcze cała masa innych rzeczy, których już nie pamiętam. Wszystko to mieściło się w drewnianej skrzynce, którą na ogół nosili sami monterzy. Było rzeczą cenną mieć samemu rozeznanie we wszystkich tych rzeczach. Potrzebne były zarówno przy instalacji kabla w „rozdzielaczu”, jakim był zamknięty metalowy garnek, mieszczący kolisty rozkład kontaktów. Żyłły kabli, których w rozdzielaczu spotykało się nieraz kilka, przykręcano śrubkami. Narzędzia były nieodzowne również we wnętrzu nastawni, gdzie wymieniano całe kilometry połączeń, pokazanych na schematach – ogromnych arkuszach papieru ozalitowego, na który kopiowano lokalny układ połączeń; schematy, na przykład nastawni krakowskiej nie pasowały by do stacji Kraków – Płaszów⁴. Natomiast sprzęt, a więc i nastawnie przychodziły w wyposażeniu i z połączeniami standardowymi, które trzeba było dostosowywać do potrzeb lokalnych.

Kiedy wstawione zostało ostatnie połączenie, rozpoczynał się okres żmudnego ich testowania. Należało, patrząc na schemat, wymyślać najrozmaitsze testy; czy – na przykład – przyłożenie napięcia (zawsze 24 V, prąd stały) do styłu o numerze 1234 spowoduje zadziałanie stycznika nr 66, który posyłał napięcie do silnika umieszczonej na schemacie zwrotnicy. Jeśli to się nie sprawdzało, trzeba było wdrożyć „śledztwo”. Największe uznanie zdobywał pracownik, który takich testów potrafił wymyślić dużo – zwykle był to inż. Becker. Praca ta była nudna i wymagała dużej przytomności uczestników. Czasami też zdarzały się niecodzienne sytuacje. Pewnego dnia monterom coś się przypomniało – mieli pytanie do Beckera, który już siedział w wagonie pierwszej klasy w pociągu, mającym lada moment odjechać do Berlina i akurat mnie z tym wysłali. A z nastawni na peron drugi jest spory kawał drogi. Dobięłem do pociągu, kiedy dyżurny ruchu, Niemiec, dawał sygnał odjazdu. Patrząc w okna szukałem Beckera gdy nagle dostałem od niego cios w głowę. Bolało podwójnie: również fakt że on, nie pytając mnie o nic, śmiało uderzył kolejarza w mundurze,

a więc na służbie. I z tym poleciałem prosto do nastawni. Wszyscy monterzy zajęli moje stanowisko. Rozpętała się awantura, w ruch poszły telefony. Kiedy po dwóch dniach przechodziłem przez drugi peron, w budce ani na zewnątrz nie było już tego urzędnika – został przeniesiony na peron czwarty.

Któregoś dnia zasiedziałem się trochę dłużej w nastawni – robiliśmy jakiś montaż – i wracałem do domu wieczorem, Do dziesiątej – myślę sobie – jeszcze czas (Polaków obowiązywała godzina policyjna o 22:00) – wstąpię do Sławka. Ale tam się też zasiedziałem i kiedy wychodziłem, było już po dziesiątej. Brama zamknięta; to nic, że „ciociowi” wypadało dać monetę gdy ją otwierał, ale ledwie zamknął i zrobiłem parę kroków, słyszę zza rogu stukanie podkutych buciorów i zaraz potem gromkie „Halt! Hände hoch!” Zaraz też stanąłem, światło latarki i okrzyk „Ausweis, bitte!” poszły w moją stronę. Dobrze, że byłem w mundurze kolejowym! – Aha, Eisenbahner... mruknął któryś. Przeglądnęli Ausweis i specjalne zezwolenie na powrót po godzinie policyjnej. Okazało się też, że idę we właściwą stronę ulicy, ale wcale nie byli ciekawi skąd się na niej nagle wzięłem, skoro przed chwilą jeszcze było pusto?... Puścili mnie przed sobą i póki mnie nie minęli miałem ciarki na plecach...

Z Dinysami przytrafiło się zabawne zdarzenie. Kiedy się to działo, Celina mieszkała już tylko z Ojcem – małym, mównym ale dowcipnym starszym panem. Któregoś dnia (a było to w lecie, okna były otwarte) Ciotka Sławka, Tola, gotowała obiad i trzymała w ręku kawałek skóry wieprzowej – pewnie pozostałość po boczku. Niewiele myśląc, zamachnęła się solidnie i wyrzuciła skórę, która parabolicznym łukiem przeleciała nie tylko okno jej kuchni, lecz wpadła przez drugie do kuchni Dinysów (ich kuchnia położona była nieco niżej) i wylądowała na rozpostartej gazecie, którą Dinys akurat czytał. Spojrzał z nad okularów i spokojnym głosem, ale dość głośno żeby było słychać u sąsiadów, powiedział: – „kto zjadł słoninę, niech zje i skórę!” – po czym wyrzucił „przesyłkę” na podwórze.

Już wczesną wiosną 1940 roku nastąpiło zakończenie historii z odbiornikami radiowymi, schowanymi u ojca w magazynie. Któregoś dnia wszedł niemiecki oficer z dwoma żołnierzami, zapytał o ojca, a potem oświadczył: – Pan tu ma schowane odbiorniki radiowe... Ojciec natychmiast się zorientował, że musiała to być wiedza z donosu i z miejsca odpowiedział: – Tak – to go uratowało od konsekwencji.

– To proszę je oddać. Żołnierze zabrali – i dalszych pytań nie było. Oficer jeszcze tylko zaciekawiał się, dlaczego nie zapisał się na listę Volksdeutschów, skoro tak dobrze zna język niemiecki. Posłyszał w odpowiedzi: – Nie dawno zmieniłem narodowość – a nie można przecież robić tego co tydzień...

Prócz chemii pasjonowałem się wówczas również fizyką. Ale wykonywanie eksperymentów fizycznych w domu było trudniejsze, ze względu na brak oprzyrządowania. W gimnazjum uczył nas fizyki Dr Marian Mięśowicz, profesor uniwersytecki, który w tym czasie robił habilitację. Podpadłem mu moją nieszczęsną graficzną ilustracją ciśnienia. Oto prostopadłościan o trzech krawędziach różnych, ustawiono po kolei na trzech różnych ścianach; skomentować ciśnienie. Moje rysunki były na tyle nieudolne że nie mogłem rozpoznać, czy za każdym razem rzutuję ten sam klocek? I taką mi zrobił uwagę: „Czy to ten sam klocek?” No i tak zaczęła się nasza znajomość – dla niego męczarnia, ponieważ zadawałem dosłownie setki pytań (nosiłem taką „ściągawkę” z pytaniami). Pożyczył mi tom za tomem podręcznik fizyki eksperymentalnej Natansona, po których zaczęło mi się rozjaśniać w głowie, częstował herbatą (to wszystko działo się u niego w domu, przy ul. Mikołajskiej 4), a jego przemiła małżonka – pączkami. Kontynuowaliśmy tę naszą znajomość po wyzwoleniu; wtedy był już profesorem w AGH i zajmował się „badaniem kierunku padania na Ziemię twardego promieniowania kosmicznego za pomocą grupy liczników Geigera – Müllera w układzie koincydencyjnym”. Wymienialiśmy też krótkie, okolicznościowe kartki z życzeniami. Po latach, gdy na jakimś Zjeździe fizyków Mięśowicz rozmawiał z Sosnowskim (z Warszawy) powiedział do niego: – Przedstawiam Ci pana Rohledera. To mój uczeń! A Sosnowski do niego: – Nie musisz mi przedstawiać, bo go znam. To także mój uczeń! (u Sosnowskiego pracowałem nad wpływem ciśnienia na przewodnictwo elektryczne półprzewodników). I właśnie w książce Natansona znalazłem coś, o czym można było myśleć, że się uda w warunkach domowych: opis zjawiska interferencji światła na dwóch szczelinach równoległych. Do wykonania odpowiedniej przesłony użyłem grubej folii aluminiowej i ostrzem żyłki próbowałem ciąć szczeliny. Nie było to łatwe, gdyż dla wykonania wąskich szczelin, położonych blisko siebie, musiałem dość gęsto nacinać folię. Obraz dawany przez jedną z przesłon sfotografowałem na kawałku papieru fotograficznego. Nie było mowy o jakiejś fizycz-

nej analizie tego obrazu, ale Mięśowicz uznał, że interferencja była widoczna. Od tego czasu zaczęły się eksperymenty z promieniowaniem: własności filtrów, pryzmat i rozszczepienie światła białego (przepiękne barwy), udoskonalanie doświadczenia nad interferencją... Znałem takich ludzi, u których widok oznak wiosny czy pełni lata wywoływał zew podróży, polowania, wędrówki; rzucali wtedy wszystko: robotę, z której żyli a o którą (w Kanadzie) nie było łatwo, żonę, dom... i szli w puszcze. Nosili z sobą karabin, ale go nie używali – chyba, że we własnej obronie. Po miesiącu wracali uspokojeni, zrównoważeni i pogodzeni z życiem, które podejmowali na nowo. Mną też szarpał zew: kiedy wiosną „słoneczko stało już dostatecznie wysoko”, przychodził czas na eksperymenty optyczne. Był taki korytarz w domu, gdzie mieszkałem, którym wychodziło się na balkon, wspólny dla lokatorów danego piętra, i tam rozkładałem moje „przyrządy”. I nic mi nie przeszkadzało: ani ludzie, którzy mieli ochotę wystawać do słońca, ani czyjeś pranie, rozwieszane na sznurach...

A na kolei tymczasem skończyliśmy z nastawnią na dworcu osobowym i przeszliśmy na towarowy. Nastawnia tamtejsza była może jeszcze większa, niż ta pierwsza, bo też i torów i zwrotnic było znacznie więcej. Na towarowy przechodziłem zwykle peronem pierwszym i codziennie obserwowałem czyszczenie wagonów „Mitropy” (a może „Mitropa?”). Mitropa była czymś w rodzaju „Orbisu” niemieckiego z tym, że oni pracowali, a nie tylko sprzedawali bilety. Po wagonach pierwszej klasy, restauracyjnych i sypialnych, ustawionych na bocznych torach w długie szeregi, krążyła armia robotnic z wiadrami wody ze środkiem czyszczącym: zmiatano i zmywano podłogi, opróżniano popielniczki (sic!), czyszczono okna... Mogłeś wejść do świeżo wymytego i puściuteńkiego wagonu i odpocząć, a nawet zdrzemnąć się – polski robotnik cię nie zaczepił. Ale ci z Bahnschutzpolizei... „Behüte dich... Der Feind schläft nicht”... widniało wszędzie na afiszach. To kontaktu z nimi trzeba było wystrzegać się. Jeśli tacy cię przyłapali, mogłeś mieć kłopoty...

Na święta drużyna niemiecka wyjeżdżała do Heimatu, a nas przekazywano do odcinka drogowego. I znowu Żurek... Ale tak było tylko raz, na Wielkanoc 1940. Później – na ogólne żądanie – wyperswadowałem majstrom, że mogą nas spokojnie zostawić na nastawni: nic nie zginie, możemy zrobić szereg przygotowań, dzięki którym robota pójdzie szybciej po ich powrocie, itd. I chwyciło. Już

na Boże Narodzenie tego roku mieliśmy ustalony plan robót, które należało wykonać i pełną swobodę dostępu do wszystkich narzędzi i planów. I w tym czasie po raz pierwszy zetknąłem się z „bimbrem”. Bimber był wódką, pędzoną powszechnie chociaż potajemnie w podkrakowskich wsiach. Smakował okropnie, ponieważ destylacja była daleka od doskonałej – nikt tam w rektyfikację się nie bawił; miał też niezłe stężenie alkoholu (około 60%). Kolejarze zawsze mieli swoje sposoby przewożenia rzeczy niedozwolonych. No i sprzedawano ten bimber także na dworcach. Mając w głowie treść ostrzeżenia na afiszach ustaliliśmy, że jak długo jesteśmy sami na nastawni, zawsze jeden z nas „trzyma wartę”; codziennie ktoś inny. Od czasu do czasu przynoszono bimber w saganie i – prócz wartownika – reszta była zajęta jego opróżnianiem. „Kieliszkami” były bańki szklane, odcięte z żarówek, z optopionym termicznie brzegiem. Środki ostrożności bardzo się opłaciły, ponieważ pewnego dnia strażnik zasygnalizował, że ma... Żurka w polu widzenia. Rzeczywiście, szedł do nas. Ponieważ nie zjawialiśmy się w biurze odcinka drogowego przez kilka dni, przyszedł z ojcowską troską o nasze zdrowie zobaczyć, co się dzieje. Na taką ewentualność też byliśmy dobrze przygotowani: wszystkie ślady „wyszynku” zniknęły w mgnieniu oka, schematy i robota zostały rozłożone, a my byliśmy w miarę usmarowani, ale ponad miarę zapracowani... Żurek pogadał, pogadał i odszedł z niczym; jeśli nawet coś zauważył, nic nam nie mógł zrobić, bo w nastawni byliśmy całkowicie wyłączeni spod jego kompetencji...

Prace nad montażem nastawni kończyły się zainstalowaniem potężnej baterii akumulatorów (24 V, 300 A), prostownika sieciowego do ich ładowania, jeszcze potężniejszego silnika Diesla sprzężonego z prądnicą i sporą tablicą rozdzielczą, która ułatwiała manewrowanie tym sprzętem. Była to „elektrownia awaryjna” – na wypadek odpadnięcia sieci miejskiej. W końcowej fazie należało sprawdzić funkcjonowanie również i tej maszyny. Widziałem na własne oczy, jak jeden z monterów wziął kleszcze do ręki i wyszedł po drabinie prawie na sam szczyt tablicy, żeby coś podokręcać. Tablica była pod prądem. Widziałem, jak trzęsły mu się ręce i myślałem: „przecież nic mu się nie może stać – to tylko 24 V i on o tym z pewnością wie! Żeby tylko nie zrobił zwarcia” – i właśnie wtedy to się stało. Cążki wyleciały mu z ręki i spadały powoli, zahaczając o wystające śruby, co chwila sypały się snopy iskier i grad roztopionego metalu. Monter zrobił się

blady; ściągnęliśmy go z drabiny, zdjęliśmy krople roztopionego metalu z ubrania roboczego, które już zaczynało dymić; montażu dokończył ktoś inny...

Mniej – więcej w tym okresie pojawił się na horyzoncie mój Brat, który właśnie wrócił z praktyki inżynierskiej po skończeniu nauki w Szkole Elektrotechniki. I z tego okresu najwięcej go pamiętam; potem jeszcze jeden epizod, tragiczny. Pierwszą rzeczą, którą Zdzisław zrobił w jakiś czas po powrocie, był demontaż kilkunasto konnego silnika elektrycznego z układu alarmu przeciwlotniczego, który zainstalowali Niemcy na dachu jednego z domów; robotę tę wykonał z Waldkiem Badylakiem... Był to wyczyn nielada, który obaj mogli przypłacić życiem. O celu tej operacji i o tym, jak się odbywała, przypomniał mi Waldek w cytowanym już liście:

[...] w tym czasie Twój Ojciec lub Ty otrzymaliście deputat drewna opałowego w postaci zużytych podkładów kolejowych. Impregnowane podkłady, jakkolwiek dobre na opał, zupełnie nie nadawały się do cięcia zwykłą, ręczną piłką do drewna. Do tego trzeba było silnika i piły tarczowej. Wtedy Zdzisiek, który pracował w warsztatach Siemens a przypominał sobie, że w tych dniach został wymieniony trzyczłonowy silnik elektryczny do syreny alarmowej na dachu domu przy ulicy Wielopole w Krakowie – taki akurat nadający się do piły. Ale jak go „zdjąć?” Zdzisiek dotarł do silnika za pośrednictwem legitymacji służbowej i obaj zdjęliśmy go z dachu. Na dole trzeci z nas czekał „na czacie” z wózkiem dwukołowym. No i akcja „silnik: powiodła się – tyle tylko, że ja straciłem pracę a Zdzisiek miał dochodzenie u Siemens a [...].

Zdzisiek nauczył mnie zarabiać pieniądze, a to za sprawą elektroniki. Miał też kolegów, znających się na elektronice, wówczas, oczywiście lampowej – triod półprzewodnikowych jeszcze nie było. Ale istniały bogate zbiory schematów radiowych, według których można było składać najrozmaitsze odbiorniki: od kryształkowych (bez wzmacniania) do pięciolampowych heterodyn, które pracowały na lokalnych generatorach częstości pośredniej, mieszanej ze strojoną częstością anteny i prostowaniem sygnału wyjściowego. Ułatwiało to niebywale wgląd w nieznaną schemat praktycznie każdego odbiornika, który z jakichś powodów „nie chodził”. Jak już wspominałem, krajanom odbiorników nie wolno było mieć – ale mieli je Niemcy i przynosili do

naprawy. Jeśli klient z czymś takim trafił do mnie to wprawdzie go powiadamiałem, że ja nie mogę trzymać w domu odbiornika. Bez mrugnięcia okiem pisali wówczas zaświadczenia, że odbiornik powierzono mi do naprawy, co nie było zabronione. W zimie 1944 czas robił się gorący, ponieważ niemiecki marsz na Wschód został przerwany i ludzie chcieli mieć wiadomości. Myśmy też ich potrzebowali – zawsze można było wymyślić jakiej komplikacje w naprawie, dla których odbiornik musiał jeszcze u mnie zostać. Tak zwane „honoraria” za naprawę były całkowicie brane „z sufitu” ale – jakbyśmy dziś powiedzieli – z uwzględnieniem „cen rynkowych”.

A czas był – jako się rzekło – gorący. Niemcy dostali pod Stalingradem porządne lanie i zaczął się powrót z wyprawy po złote runo. Teraz oni – dotąd w futrach i kożuszkach i w samochodach pancernych – dowiedzieli się, co to znaczy mieć na gębie zakrwawioną szmatę zeszywnioną działaniem mrozu do twardości blachy i być zmuszonym do marszu kilometrami o głodzie i niewyspaniu.

Nasi majstrowie wrócili z świątecznych urlopów ze skwaszonymi minami i zaczęli przebąkiwać o powrocie do Heimatu, który ich potrzebuje. Pełny exodus Niemców odbył się 17 stycznia 1945 roku, przy grzmotach ładunków, którymi Niemcy wysadzali, co im się podobało, a także bomb, które Rosjanie rzucali z gęsto latających samolotów w miejsca, które im się podobały. Pamiętam tę datę doskonale, ponieważ w tym dniu w gronie kolegów świętowaliśmy imieniny Rościsława. W trunki zaopatrzeni byliśmy różnorakie i wyborne – trudniej było o przyzwoitą fazę stałą. W rezultacie z przyjęcia rozeszliśmy się na czworakach, kędyś koło północy.

Etap pracy na kolei był tym samym zakończony. Przepracowałem na nastawniach pięć lat – i to na próżno, ponieważ przed wyjazdem Sprengkommando zdążyło powysadzać wszystkie bloki elektryczne, któreśmy z takim nakładem pracy instalowali. Pozostała do przemyślenia jeszcze jedna rzecz: co zrobimy z Żurkiem? Spotykałem się jeszcze przez kilka dni z kolegami z odcinka drogowego i zastanawialiśmy się wspólnie nad tym jak mu „wynagrodzić” lata znęcania się nad podwładnymi? Ale zanim doszliśmy do porozumienia, ktoś inny nas ubiegł i Żurek zniknął z pola widzenia.

Następnego dnia po Rościsławie wchodzili Rosjanie. Wyglądało to tak, jak w czytanych wcześniej w gazecie opisach ich przemarszów: z piernatami, babami, małymi dziećmi – wszystko w nieładzie poroz-

rzucane na chłopskich wozach, ciągnionych przez woły, karabiny na sznurkach... Wrażenie nędzy i rozpacz sprawiało to wędrujące mrowie. Rosjanie od razu zabrali się do roboty. Kiedy parę dni później znalazłem się nad Wisłą, podszedłem trochę bliżej rzeki żeby zobaczyć, jak naprawiają zwalony most Dębnicki. Jeden z nich wpadł do rzeki – ludzie z brzegu zaczęli krzyczeć, że człowiek tonie – trzeba go ratować! – Job jego mat’ – odrzyknął któryś – u nas ludziej mnogo...

4. Studia uniwersyteckie

Kilka dni po powrocie ze Stępcic doszła mnie wieść, że w moim dawnym gimnazjum im. Św. Jacka przy ulicy Grodzkiej organizowane są zapisy na przyspieszony kurs maturalny dla dorosłych. Nauka dwóch klas licealnych miała trwać jeden rok, po czym matura. To mogło być coś dla mnie – oznaczało bowiem zyskanie jednego roku przed podjęciem samodzielności zawodowej. W rzeczywistości zdobyłem dwa lata: jeden rok w liceum, drugi w Uniwersytecie. Czas był rzeczą niezmiernie cenną.

Kiedy stanąłem do zapisu na kierunek matematyczno – fizyczny okazało się, że zgłoszenia przyjmował dobrze mi znany profesor Jan Niemiec, który już kiedyś uczył mnie niemieckiego. Gdy w dodatku – przyjrząwszy mi się – zakrzyknął w moją stronę: – Włosy ci się kręcą, młodzieńcze! – odpowiedziałem: – To z wilgoci, panie profesorze! – i poczułem, że odnalazłem zagubioną część domu – że oto powiązały się dwie nitki życiorysu w jedną całość, która już zdała się być przerwaną. Dokumentów nie wymagał żadnych ale czułem, że kiedyś przeciw wyjdzie na jaw fakt, że nie mam tak zwanej „małej matury” (świadectwo ukończenia czterech klas gimnazjalnych), bez którego zapis do liceum był nielegalny. Okazało się że pasażerów takich, jak ja, było jeszcze pięciu czy sześciu – a sprawa rzeczywiście stała się jawna w połączeniu z nie byle jaką awanturą, o czym później.

Na razie rozpoczęła się przyspieszona nauka. Klasa – już właściwie studentów – liczyła trzydziestu kilku starych koni, którzy wiedzieli, czego potrzebują. No, może z geometrią analityczną nie wszystko

było różowe. Profesor, sporo wymagający ale bardzo dobry pedagog, wtajemniczał nas w sposoby opisu kształtu i własności przekrojów stożka i innych figur geometrycznych za pomocą algebry; tu trzeba było prócz biegłości w algebrze zdobyć się na odrobinę wyobraźni przestrzennej, nieodzownej dla zrozumienia co się z czym przecina. Bardzo mi się ten przedmiot podobał i nie miałem z nim żadnych trudności. Spostrzegli to moi koledzy w klasie i zaczęli domagać się rozwiązania zadań. Ale tę korespondencję spostrzegł też profesor i –kiedy pisaliśmy kolokwium – kazał mi po prostu siadać na jego miejscu, za katedrą. Nie trzeba dodawać, że od tego czasu wyniki kolokwii trochę się pogorszyły...

Na początku lutego wybrałem się na UJ dla uzyskania informacji, czy mogę zapisać się na pierwszy rok Chemii, nie posiadając matury. Mogłem – powiedziano mi. Jest taki status, zwany „wolnym słuchaczem”, w którym ma się wszystkie prawa studenta z wyjątkiem jednego: można chodzić na ćwiczenia i nawet je zaliczać, ale nie można zdawać egzaminów. Po wniesieniu jakichś tam drobnych opłat zostałem więc wolnym słuchaczem Wydziału Matematyczno – Przyrodniczego, kierunek Chemia i zacząłem studiować. Starałem się nie dać po sobie poznać, że wprost rozpierała mnie duma. Żadnych „czapek akademickich” nie nosiłem, żadnych odznak – wystarczyło wiedzieć, że już należę do tej społeczności. Cóż to była za przyjemność, kiedy zgłaszałeś na lekcji że jutro przyjdiesz trochę później do Szkoły, ponieważ masz na UJ ćwiczenia z matematyki albo prosisz o zwolnienie o dwie godziny wcześniej, bo dziś jesteś w planie na ćwiczeniach z mineralogii. UJ zawsze miał preferencje. Od lutego do połowy lipca trwał mój pierwszy rok na UJ, który zaliczyłem bez przeszkód i w październiku 1946 zacząłem rok drugi już jako „słuchacz zwyczajny”.

W Liceum wszystko szło normalnie aż do dnia, kiedy Dyrektor (dr Waga) wszedł do klasy i zaczął nam klarować jakie to dokumenty mamy składać, ponieważ termin matury już bliski. Wstał wówczas jeden z naszej szóstki i oświadczył, że świadectwa małej matury nie złoży, ponieważ go nie posiada. Dyrektor naprzemian to bladł, to czerwieniał, ale prawdziwy horror zaczął się dopiero w chwili kiedy dowiedział się, że takich ananasów jest nas sześciu. Wykrzykiwał coś o oszustwie i szantażu, po czym zapowiedział, że nas wyrzuci, kazał iść za sobą do swego gabinetu. Tam dodał jeszcze kilka przymiotników po czym oświadczył, że nam „tego nie daruje” – a